

**przełożyła Monika Gawlak
(Z tomiku Woda)**

Morze

I.

Gdy utopię się w najgłębszej wodzie,
szeroko otworzę błękitne oczy,
by rozejrzeć się po wodnej krainie:
mętny nurt oceanu powoli stanie się
przejrzysty za gęszczem rzęs,
algi rozstąpią się w nurcie i
odczuję mowę morza,
zza białych paznokci zaczną mi
niepohamowanie wyrastać srebrne łuski
i pięty boleśnie rozrosną się
w wachlarz płetwy ogonowej – i
dopiero wtedy, odczytując rybi
niepokój, przyjdzie ulga,
że nie mam już swojej skóry, że
wyrzekłam się jej ostatecznie
całą chciwą krwią, co się
rozsiała w suchy miniony czas.

II.

W szmaragdowych głębinach nie ma ścian,
a pod stopami czuję przydenny
nurt morza, przenoszący mnie powoli,
prawie niezauważanie przez
szklaną przepaść, przez wszystkie
błękitnie przekartkowane rozpostarte szerokości
geograficzne, tylko promienie słońca wypalają
napisy w zatrzymanym czasie i nad
sobą widzę połyskujące łodzie:
wilkołaki z powierzchni obierały
orzechy i łupiny rzuciły na wodę,
by kołysały się na miedzianym wietrze,
aż wieczność nie obróci się na
bok i spragnionymi falami wysiorbie
przeestronny zalew tak, bym wiedziała,
że pierwszy dzień się kończy i
niedługo napłynie do mnie nowy świt.

III.

W zatopionej łodzi rozpościeram ręce
i, machając, czuję łagodny
powiew morza przez okna kajuty:
ryby przyglądają się morskim
konikom, ponownie splukiwanym przez
wodny dzień, na spróchniałej ścianie
zagnieździły się ukwiaty i
czerwonymi włoskami cedzą wodę,
poszukując drobnego planktonu, w pobliżu
tańczy manta i wciąż
trzępie niemymi skrzydłami, by
odbić się nad głuchym sterem,
wabiącym w dal – ruszyłabym za nią,
ale ręce niosą mnie tylko po drewnianym
tułowi wieloryba, który mnie przygarnął
rozpostartymi masztami i kotwicą,
zakopaną w najgłębszym dnie.

IV.

Bosymi stopami brodzę po
nabrzeżu, pomiędzy uderzeniami fal
spływają mokre, mieniące się
śliny i trzymają mnie na uwięzi ciężarem
wszystkiego, co usypują kroki
beziemnego oceanu – sama
jestem na nieznośnej powierzchni i
zanurzam się jedynie w chwilę obecną,
każdy ruch jest tępo spowolniony
w rozważanie, cóż być może kryje się
w niespokojnej płytnie, nie wiem,
po czym stąkam w mętnej mokrości,
po cichych stworzeniach o ślepych kółkach,
podczas gdy zdobywam ląd
zesztywniałymi nogami, jak osiadły wieloryb,
dopóki niepewnych fal nie
zmienię na gęstą głębinę.

V.

Jestem odwiązana od pomostu łodzią
i jęczę z popołudniowym przypiływem,
nacierającym na próchniejące boki,
już dawno odpuściłam algom
i skalnym towarzyszom, którzy
pasożytują na łukach żeber, jedynie na
dziobie jeszcze namakają toporne
runy, płaskorzeźba kłóty na początek,
by mnie przyjęły ciche przestworza,
by błękit był bezkresny jak
niebo, przeplatane śladami ryb
poprzez morskie wąwozy, poprzez słone
wydmy dawnych wichrów, którym
wytrwałość rozmyła twarz,
a mnie zasypała usta i nigdy już
nie krzyknę w koszmarze, gdy
codzienność zaryje się w nie kilem.

VI.

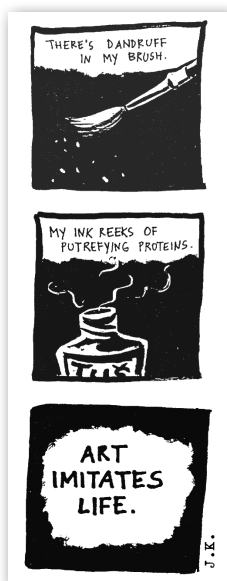
Fale cofają się po kamieniach
i pozostawiają za sobą wybrzeże,
wybudzone z zalegających pian,
po moich śladach rozpierzchają się
mieszkańcy szczelin i warowni, i
kruchych muszli, zalewanych wodą,
jednak pomimo ciągłej rotacji
udaje im się wyręć legowisko w piaszczystym
nasypie – ukrywają się w mokrym
piasku i zostawiają mnie, osiadłą w
silnym natarciu fal, dwie suche
nogi, zanurzone w mętnej wydmię,
i tak w wytrwałej niepewności,
jedynej pewnej, żyję w ciągłym
biegu przed morską wodą, tylko ja
nie umiem z drobin wyczytać, w
której przemianie świata jest mój dom.

VII.

Grzebień koralowców drży z niepokoju
i blade kości pękają w szwach,
w przebrzmiałej wytrwałości tłoczy się
tyle bezsensownych dni i
nieważnych istnień, że pośpiesznie
chowam się w stadzie delfinów,
grających monetami z sardeli, a gdy
złudzenie przemija, stają się tylko bestiami
i srebro roztrzaskują w łup:
odkryły mnie i pod zimnymi
spojrzeniami wycofuję się w ociekającą
rafę, dotykam poprzeplatanych
kończyn niezasypiającego nigdy ciała,
rozłożonego na dnie i z pośpiechu
nieznajdującego wytchnienia – a wtedy księżyc
z nieba spłynie weselną powodzią – i
pochłonie mnie białe wmorzewięcie.

VIII.

Chciałabym nauczyć się barw wody
w jesienny dzień przed burzą,
gdy morze zagrzmi falami w
nieznane, a gdzieś na wysokościach jeszcze
wahają się szare obłoki i piekąca
żółć zorzy, jednak gwałtowny nurt
szarzeje pod zimną wodą i spływa
coraz niżej do rozjuszzonej tafli – bądź
wodą, syczy błysk o płonących
palcach, aż morze rozstępuje się i grom
zakotłusze biegunami nieba, w kłębach
pian i obłoków brakuje mi oczu na
zjawy, które wyłoniły się w świeżym
stworzeniu i rozszalały się wszystkie po kres
bezmiaru, aż w brzęczącym
wirze wypełni się żądza – i
morze znów oddzieli się od nieba.



Jakob Klemenčič, *Komiks haiku*:

Łupież sypie się z pędzla
Inkaust cuchnie rozkładem protein
sztuka imituje życie

*prečim isto pot in se izognem
tvojim zankam
ne slišim svoje vrnitve*



Andrej Mivšek, *Komiks haiku*:
przecinam tę samą drogę i unikam
twoich pułapek
nie słyszę swojego powrotu